

Pazdur, Jan

"O górnictwie i hutnictwie w Tatrach Polskich", Henryk Jost, Warszawa 1962 : [recenzja]

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 8/3, 432-435

1963

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Tłumacz starał się zachować terminologię oryginalną Celiusa, chociaż, jak sam wyjaśnia, nie zawsze wiedział co ona oznacza (np. *pulsus humectus*). Tłumaczenie zostało oparte na tekście wydanym przez I. E. Drabkina w 1950 r.

Wydanie książki dokonane zostało, jak zwykle we włoskich publikacjach, na doskonałym papierze, z ozdobną okładką, nienaganną techniką drukarską. Książka ukazała się nakładem włoskiego czasopisma historyczno-medycznego „Castalia”.

Bronisław Seyda

Henryk Jost, *O górnictwie i hutnictwie w Tatrach Polskich*. Wydawnictwo Naukowo-Techniczne, Warszawa 1962, s. 185, il. 70, planów 4.

W porównaniu z miłośnikami i znawcami przyrody — geologami czy botanikami, którzy z łatwością odczytują „z księgi Tatr” odległe dzieje kształtów i odkrycia tego zakątka ziemi — historycy pozostali daleko w tyle. Szczególnie dotkliwie dawało się odczuć to na odcinku działalności górniczo-hutniczej, otoczonej legendą dawności, cudowności i obfitości. Choć nowsze badania geologiczne podawały w wątpliwość istnienie bogatszych złóż kopalin użytecznych w Tatrach, tradycja miejscowa mówiła co innego — coś, co lepiej harmonizowało z urokami tej okolicy, pociągającej nie tylko bogactwem cech przyrodzonych, ale i wielką liczebnością nazw miejscowych i materialnych śladów związanych z eksploatacją i przetwórstwem minerałów.

Książka H. Josta jest pierwszą próbą generalnej konfrontacji owej legendy z zagadkową rzeczywistością. Próbą nie we wszystkim udaną, ale dla nauki cenną, a dla upowszechnienia wiedzy o górnictwie i hutnictwie — nader pożyteczną. Wśród jej zalet na pierwsze miejsce wysuwa się świeżość odkrywczych wyników badań terenowych, wyeksponowana ciekawym i nieznanym materiałem ilustracyjnym. Nawet gdyby autor nie przedstawił się w przedśłowiu książki, można by w nim od razu poznać uczonego zakopiańczyka. Odczytuje bystro zapis pozostawiony w okolicy przez działalność górniczo-hutniczą, posługuje się swobodnie mitem przeszłości, zrodzonym i przechowywanym przez miejscowych ludzi, notując skrętnie i powtarzając, co kto napisał na ten temat. Brak mu natomiast tu i ówdzie wycucia, co nadaje się do wnikliwszego skomentowania wobec niedostatków w materiałach pisanych. Nie docenia należycie naukowej wartości posiadanych dokumentów materialnych w przekonaniu, że potwierdzają one jedynie dla regionu Tatr to, co jest oczywiste dla omawianego zagadnienia w stronach bogatszych w dokumentację pisaną.

Tymczasem zagadnienie górnictwa i hutnictwa tatrzańskie choć nie miało nigdy znaczniejszego wyrazu ekonomicznego, posiada swój godny wyraz w dziejach polskiej kultury materialnej. Trzeba je mierzyć jednak nie wskaźnikami ekonomicznymi, które u współczesnych nam lub niedawno minionych pokoleń były i są podstawą oceny każdego przedsięwzięcia o charakterze produkcyjnym. Intencje inicjatorów robót górniczo-hutniczych w Tatrach były oczywiście bliskie tym, które towarzyszą i dziś każdej budowie zakładu przemysłowego. Inne natomiast były warunki, w jakich decydowano się podejmować pracę — i to zarówno ze stanowiska inwestora-nakładcy, jak i robotnika. Obowiązywało tu ongiś powszechne prawo hazardu mienia, zdrowia i życia. W Tatrach działanie tego prawa było szczególnie bezwzględne. Normalnie niekorzystny wówczas stosunek sił ludzkich i sił przyrody pogarszał tutaj surowy klimat, stosunki osadnicze i aprowizacyjne.

Trwała działalność górnicza w epoce feudalnej opierała się albo o miasto uprzywilejowane, albo o zespół osiedli wiejskich dostarczających bezpłatnej lub półdar-

mowej siły roboczej. Bardzo zaś często — o jedno i drugie. Aż do połowy XIX w., tj. mniej więcej do czasu zniesienia przymusu pańszczyźnianego i do początków żywszego rozpowszechniania się silników parowych w przemyśle, załogi zakładów przemysłowych korzystających z energii wodnej składały się z reguły z ludzi prowadzących pomocnicze gospodarstwa rolne. Taka była konieczność, bo w przemyśle „fortuna kołem się toczyła”. W Tatrach natomiast pomoc rolnictwa znaczyła niewiele. Jeżeli więc S. Zwoliński odnalazł 39 sztolni i 8 szybów oraz 6 stanowisk hutniczych z okresu 4 wieków działalności górniczo-hutniczej pomiędzy Doliną Chochołowską i Doliną Suchej Wody, a więc w terenie odludnym i nieprzystępnym, to, uwzględniając warunki społeczno-ekonomiczne, w jakich te prace były wykonywane, należy do całego zagadnienia przyłożyć skalę o innych wymiarach niż stosowane dotychczas.

I tutaj nasuwa się pierwszy, nie tyle zarzut, co wyrzut pod adresem autora: że nie spojrzął na całość zjawiska. Choćby bowiem dla każdej sztolni przyjął 25 m (a sztolnia „Czarne Okno” liczyła 60 m), otrzyma się łącznie tunel długości 1 km, wyrabany w skale młotem i kilofem, gdyż wątpić trzeba, aby robota strzelana — mimo jej stosowania na innych terenach od ok. 1620 r. — mogła tu w szerszej mierze zastąpić siły ludzkie przed XIX w. A przecież sztolnie, podobnie zresztą jak i szyby, sugerują istnienie chodników eksploatacyjnych. Znalezienie drabiny w wyrobiskach, a także i cytowany opis Seweryna Goszczyńskiego (s. 166), dowodzą prowadzenia prac podziemnych na kilku poziomach. Ta okoliczność, niezwykle istotna dla charakterystyki rozmiaru nakładów finansowych i zaangażowania sił roboczych, nie została wykorzystana. Może na to jeszcze nie czas. Trzeba się jednak liczyć z tym, że ścisły rachunek jest prawie nieosiągalny, chyba że kiedyś zbada się wyrobiska przy pomocy aparatów zdalnie kierowanych. Tymczasem zaś rachunek przybliżony dałby wiele do myślenia.

Drugą sprawą, której również brakuje cyfr, potrzebnych dla zobrazowania warunków pracy, jest sprawa odległości, związanych z transportem. Autor zna rozmieszczenie punktów eksploatacji w stosunku do miejsc przetwórstwa. Zna też z autopsji i z opisów warunki karkołomnego transportu. Wiadomo, że transport do czasu jego mechanizacji obciążał nieznośnie koszty własne każdego przedsiębiorstwa górniczo-hutniczego, decydując w większości wypadków o nieopłacalności robót. Odległości zaś wynikały z konieczności lokowania hut w miejscach dogodnych dla wykorzystania energii wodnej do napędu mechanizmów, a tym samym musiały być często dość znaczne. W usytuowaniu punktów eksploatacji w stosunku do miejsc przetwórstwa kryje się kalkulacja pierwotnych założeń ekonomicznych. Wydobyte tych powiązań dopomogłoby do umiejscowienia odkrytych śladów działalności w czasie, co w zakresie górnictwa kruszców udało się autorowi osiągnąć tylko częściowo. Otwarte więc pozostają pytania: czy huty na Ornaku i w Dolinie Starorobociańskiej wiążą się z pracami w XVI w., czy są późniejsze? W jakim stosunku chronologicznym pozostają one do pierwszej linii hut położonych niżej, w Starych Kościeliskach, w Dolinie Lejowej i w Huciskach w Dolinie Chochołowskiej?

Respektując zasady zdrowego rozsądku, na których nie zbywało dawnym przedsiębiorcom górniczo-hutniczym, należałoby uważać huty niżej położone za wcześniejsze. Wątpliwości autora (s. 94), czy nazwa miejscowa u wylotu do Doliny Chochołowskiej wiąże się z hutnictwem metali, nie mają uzasadnienia. Hutami nazywano w Europie, a i w Polsce od XV w., zarówno zakłady produkujące szkło, jak i wytapiające metal z rud żelaznych. Nikt nie ryzykowałby wówczas na tym odludziu huty szkła, dla której był dostatek surowca w terenach dogodniejszych. Nazwa wiąże się więc niechybnie z przetwórstwem kruszców tatrzańskich. Jednakże, sama okoliczność większej dogodności lokalizacyjnej zakładu w Huciskach

i dwu sąsiednich (w dolinach Lejowej i Kościeliskiej) nie przesądza ich egzystencji wcześniejszej w stosunku do hut wyżej położonych. Należy raczej przypuszczać, że funkcjonowały one jednocześnie jako zakłady różnych gwarectw w okresie największego ożywienia poszukiwań srebra, tj. w XVI w. W nazewnictwie wyższej partii gór przetrwały ślady starszej działalności hutniczej. Do takich należą niewątpliwie Hala i Dolina Smytnia, które etymologicznie wywodzą się od niemieckiego *Schmiede* — przerobionego na szmitnia, czyli kuźnia albo hamernia.

Autor słusznie podkreśla, że kopalnie w Tatrach były czynne co najmniej od początku XV w. W latach 1494—1495 operowały tu co najmniej 2 gwarectwa z tytułami własności do odrębnych pól górniczych. Właściciele jednego z tych pól, Turzonowie, wydzierżawili je wraz z hutą mieszczaninowi z krakowskiego, Kazimierzowi Michałowi Geldhorowi za rocznym czynszem 50 grzywien srebra (10,137 kg)¹ Inna transakcja z tego okresu wydaje się wskazywać na jeszcze wyższą wartość udziałów gwareckich. Taka może być przyczyna, że król nie poprzestał na pobieraniu przysługującej mu dziesięciny (olbory), lecz zdecydował się na założenie własnego przedsiębiorstwa. Nie miało ono żadnej przewagi nad innymi. Wszystkie wymagały bieżącego zasilania przede wszystkim gotówką i prowiantem, gdyż okolica uboga była w żywność. Wszystkie też musiały się opierać na siłach roboczych z wolnego werbunku, gdyż ani stan osadnictwa, ani stosunki prawne nie stwarzały możliwości oparcia prac na robociznie przymusowej. Wobec zaś konieczności przerywania prac na okres zimowy, nie łatwo było utrzymać ich ciągłość.

W lepszej już sytuacji pracowało natomiast przedsiębiorstwo króla Stanisława Augusta, które wybudowało hutę u stóp Ornak. Zasady bowiem organizacji sił roboczych w XVIII w. uległy zmianie. Wyznaczony przez Komisję Skarbową, „pisarz górny” Bogucki miał „trzymać rejestra górników nacyonalnych... z wyrażeniem wsi i imion (s. 56)”. To znaczy, że miał prowadzić kontrolę odrobku pańszczyźnianego w kopalniach, co w wiekach XV i XVI, przynajmniej w tej okolicy, było jeszcze nie do pomyślenia. Skądinąd wiemy, że w praktyce siły te wykorzystywano przede wszystkim w transporcie i sążniarstwie, a Stanisław August, a raczej jego energiczny starosta nowotarski Franciszek Rychter, nie zamierzał uczynić z przedsiębiorstwa królewskiego w Tatrach chlubnego wyjątku i rezygnować z darmowych usług sprężaju chłopskiego.

Aby więc można było obliczyć rozmiary tych usług, trzeba ocenić warunki transportu, a więc dystanse i jakość dojazdu oraz prawdopodobny ciężar załadunku dla jednej furmanki. Na innych terenach wynosił on ok. 3000 kg. Czy na drogach tatrzańskich było to możliwe? Ile razy obracano jednym zaprzęgiem w ciągu dnia? Jaki był stan okolicznych sił roboczych podległych obowiązkowi pańszczyźnianemu? Wydaje się, że na to pytanie znalazłaby się odpowiedź w lustracjach starostwa nowotarskiego i w metryce józefińskiej. Pożyteczne byłoby też wykorzystanie ksiąg stanu cywilnego. Dopiero obraz osadnictwa i stanu zamożności mieszkańców najbliższego zaplecza pozwoli na ocenę wysiłku poniesionego dla przeprowadzenia robót górniczo-hutniczych w Tatrach. Fantazją bowiem, wzorowaną na pojęciach o wyprawach wojennych, jest napisany przez Radzikowskiego, a cytowany (s. 46) przez autora, opis ekspedycji górniczej króla Aleksandra Jagiellończyka, ciągnącej z Krakowa w kierunku Tatr po nowo zbudowanej drodze niemalże z orkiestrą. Wyglądało to mniej hucznie, ale za to o wiele skuteczniej.

Niedostatki w zakresie strony społeczno-prawnej opisanych działań wynagrodził autor czytelnikowi przystępnym i pełnym opisem operacji technicznych związanych z przygotowaniem wsadu, działaniem urządzeń oraz procesem wytopu

¹ *Cons. Crac.* 430, s. 400 i s. 435.

łącznie z jego wynikami. Dotyczy to zarówno kruszców, jak i rud żelaza. Jedynym poważniejszym uchybieniem w tej partii wykładu jest przyjęcie informacji Zejznera o istnieniu pudlingarni w Kuźnicach wbrew oczywistym dowodom, z których najbardziej istotnym jest zamieszczony na s. 108 plan walcowni z 1842 r. Przeciw pudlingarni świadczą też utrzymanie w ruchu wszystkich czterech fryszerek i brak budynku suszarni drewna na planach.

W słusznej intencji uczynienia tekstu zrozumiałym zastosował autor konsekwentnie przeliczanie starych miar na współczesne. Z punktu widzenia ścisłości naukowej jest to niekiedy ryzykowne, ponieważ informacje o jednostkach miar i wag, stosowanych dowolnie według zwyczaju ośrodka produkcyjnego, są sprzeczne. Podejrzana w związku z tym wydaje się wiarygodność przeliczenia 400 „miar” kruszcu na 400 cetnarów i wyprowadzony z tej ilości surowca uzysk 40,5 kg srebra oraz 800 kg miedzi (s. 59). W świetle analizy rudy miedzi podanej na s. 95 byłby to wynik trudno osiągalny. Zastrzec się też można przeciwko przeliczaniu niemieckiej miary objętościowej zwanej tonną (beczką) na jednostkę 100-litrową (s. 116). Według *Słownika Górniczego* H. Łabęckiego² można by ją przeliczyć na 0,35 m³. Z tekstu na s. 128 wynika, że 7 tonn odpowiadało 10 polskim korcom, ponieważ tyle węgla drzewnego wypalało się z 1 sąźnia drewna. Na tej podstawie można powiedzieć, że zużycie 39500 tonn węgla w zakładach kuźniczych wymagało przetlenia ok. 14671 m³ drewna. Cyfra ta zbliża się wprawdzie do masy drewna podanej globalnie przez autora na s. 103 (16000 m³), ale pozwala zakwestionować proporcje zużycia. Jeżeli bowiem fryszarki zużywały 3500 m³ w postaci przetłonej, to do czego służyła pozostała, nieprzetłona masa 12500 m³, skoro walcownia szła chyba równieź na węgiel drzewnym, a nie na drewnie?³

W omówieniu tzw. spraw ludzkich autor stanął zdecydowanie po stronie górników i hutników. Nie tylko zresztą w tym rozdziale wyczuwa się jego sympatię dla ludzi, których ręce pozostawiły tak liczne ślady pracy w Tatrach. Dygresje na ten temat rozsiane są na kartach całej książki bądź w postaci refleksji własnych, wynikających z oceny warunków pracy, bądź jako cudze spostrzeżenia, mniej lub więcej literackie. Na pewno dałoby się na ten temat więcej powiedzieć kosztem zbędnych i powierzchownych informacji o całym rejonie podgórskim od Węgierskiej Górki aż po Cisnę i Duszatyn. Autor wykorzystał przecież poza cennym materiałem lokalnym podstawowe zespoły źródeł pisanych — tzw. archiwum zakopiańskie ze zbiorów kórnickich, akta Komisji Kruszcowej, Sądu Górniczego w Wieliczce i zarządu dóbr państwowych z archiwum w Wiedniu. Warunki bytowe można w świetle tych materiałów przedstawić o wiele dosadniej. Mówią o nich też nieco więcej nazwy miejscowe, takie jak Karczmiska w sąsiedztwie Wielkiej i Małej Kopy (czyli kopalni) Królewskiej, a może i Trzydniowiński Wierch.

Wszystkie te życzenia można oczywiście wyrażać tylko dlatego, że zrobiona została rzecz najważniejsza — pierwsza rzetelnie udokumentowana, popularnonaukowa synteza górnictwa i hutnictwa tatrzańskiego. A na jej tle zarysowała się sylwetka podhalańskiego hawiarza, pełnego zamięłowania i odważnej determinacji, o której tak mówił tetmajerowski Tomek Gazdej: „Kiebyk beł zginon, no to nic, a kiebyk beł po ten rude nie poseł, toby beła przepadła” (s. 172). Zasługą książki Henryka Josta jest, że ten wysiłek, połączony z nakładem finansowym mieszczan krakowskich i polskich królów, nie przepadł dla historii polskiej kultury materialnej.

Jan Pazdur

² Warszawa 1868, s. 290.

³ Por. w tej sprawie w niniejszym numerze *List do redakcji* H. Josta (przyp. red.).